

 **Kraków**



Młody Kraków

MAGAZYN
MŁODYCH

Czytajże!

nr 7 • listopad 2019 • www.mlobdziez.krakow.pl • ISSN 2657-585X • nakład 3000 egz.

Krakowski Dzień Samorządu Uczniowskiego

Podróże:
Wiatr od fiordu

**Smartfon
pomoże w nauce**



Hej,

Za oknami, co prawda, coraz szarzej, ale późną jesienią nie musi brakować nam wigoru. W listopadzie oferujemy Czytelnikom naszego czasopisma zbiór nowych tekstów. Pamiętając, jak ważne dla osób wkraczających w dorosłe życie jest zdobywanie wiedzy o różnych zawodach, proponujemy rozmowę z pedagogiem przedszkolnym, a także wspomnienia naszej koleżanki redakcyjnej, która podczas wakacji wykonywała pracę opiekuna kolonijnego. Mamy nadzieję, że dla osób planujących w przyszłości pracę z dziećmi będą przydatne. Ponadto w numerze m.in. artykuł o aplikacjach wspierających uczenie się, jak zawsze trochę kultury i ciekawa opowieść o wakacyjnej podróży do Norwegii. Na listopad jak znalazł.

No to co? Czytajże!

Mateusz Talaczyński

Młody Kraków MAGAZYN MŁODYCH
Czytajże!

Projekt „Młody Kraków – Młode Media”
otrzymał nagrodę Europejskiej
Sieci Miast Przyjaznych Dzieciom
w Stuttgarcie w roku 2011.



Wydawca:

Urząd Miasta Krakowa
Wydział Polityki Społecznej i Zdrowia
ul. Dekerta 24, 30-703 Kraków

Adres redakcji:

Referat ds. młodzieży, pok. 16
ul. Dekerta 24, 30 – 703 Kraków

Kontakt z redakcją:

tel. 12 616-78-19
e-mail: mlodziez@um.krakow.pl

Redaguje zespół:

Tomasz Talaczyński (redaktor naczelny),
Bartek Hałatek, Maja Jakubowska,
Lidia Kędra, Weronika Koczoł,
Kinga Kowal, Oliwia Kurlęto,
Jakub Leśkiewicz, Wiktoria Tyko,
Jakub Pilarski, Błażej Renc,
Jan Skowronek, Martyna Smoter,
Mateusz Talaczyński, Jerzy Walaszek

Współpraca:

Zuzanna Bober, Łucja Woźniak,
Jan Woźniak

**Opracowanie graficzne,
pomoc redakcyjna i korekta:**

Pracownia Register
ul. Halczyna 7, 30-086 Kraków
tel. 12 265 85 50
e-mail: info@pracowniaregister.pl
www.pracowniaregister.pl

Redakcja nie zwraca materiałów
niezamówionych, zastrzega sobie prawo
ich skracania, zmiany tytułów oraz
redakcyjnego opracowywania tekstów
przyjętych do druku.

Fotografie zamieszczone w magazynie
są ogólną ilustracją tekstów, nie zawsze
przedstawiają bohaterów artykułów.

Młody Kraków

SPIS TREŚCI

- 3 Ciekawie jak w... przedszkolu**
- 6 Kolonijna przygoda z wieloma niespodziankami**
- 8 Krakowski Dzień Samorządu Uczniowskiego**
- 10 Smartfon pomoże w nauce**
- 12 (Ki)nowe oblicze teatru**
- 14 Pablopavo i ludziki; Marginał i Mikrotyki**
- 15 Wiatr od fiordu**
- 18 Pirat czyli... złodziej**



Ciekawie jak w... przedszkolu



Każdy dzień w tej pracy jest inny, bo z dziećmi nie można się nudzić – o pracy nauczyciela przedszkolnego opowiada Urszula Kowal, pedagog z Przedszkola Samorządowego w Gdowie.

Od kilkunastu lat zajmujesz się pracą z najmłodszymi w przedszkolu. Co myślałaś w dzieciństwie o osobach pracujących jako pedagodzy?

→ Pierwszym pedagogiem, jakiego poznałam, była moja mama. Pracowała w przedszkolu, przygotowywała mnie do szkoły. Kontakt z pedagogami miałam więc bardzo wcześnie (śmiej). A w szkole to różnie bywało. Byłam raczej typem „kombinatora”, więc nie zawsze było mi po drodze z nauczycielkami. Nigdy też nie zastanawiałam się, jak wygląda ich praca z drugiej strony, w jaki sposób, lub czy w ogóle, przygotowują się do lekcji. Wydawało mi się to takie proste: przychodzą, zadają zadanie i nic ich więcej nie interesuje.

Kiedy zdecydowałaś, że Twoją życiową misją będzie spędzanie czasu z podopiecznymi w przedszkolu? Co przeszkadzało, a co pomogło w podjęciu tej decyzji?

→ Pod koniec liceum trzeba wybrać, co się chce zrobić ze swoim dorosłym życiem. Często wyjeżdżałam jako animator na różne wyjazdy z dziećmi: rekolekcje, kolonie, wycieczki. Oprócz tego prowadziłam w swojej parafii scholę. Sprawiało mi to przyjemność i dobrze się czułam w tej roli. Stąd decyzja, co mam dalej w życiu robić, była dla mnie czymś oczywistym.

Rozmowa z Urszulą Kowal – pedagogiem z Przedszkola Samorządowego w Gdowie.

Jakich uprawnień potrzebuje młoda dziewczyna, której marzeniem jest zostać przedszkolanką?

→ Właśnie obraziłaś bardzo dużą część pań, które pracują w tym zawodzie (śmiej). Większość nauczycielek bulwersuje się, kiedy jest nazywana „przedszkolankami”. Ta nazwa kojarzy się raczej z osobą, która tylko opiekuje się dziećmi w przedszkolu. W dzisiejszych czasach tzw. przedszkolanka to przede wszystkim nauczycielka, która tak jak każdy nauczyciel musi skończyć studia pedagogiczne. Każdego roku doszkała się także na różnego rodzaju studiach podyplomowych, konferencjach i warsztatach.

O jakie umiejętności miękkie powinna postarać się kandydatka?

→ Można by powiedzieć, że przede wszystkim powinna lubić dzieci. Pani w przedszkolu musi umieć





→ rozmawiać z dziećmi – oczywiście na ich poziomie – oraz być osobą ciepłą i wrażliwą. Z drugiej strony nie może jej zabraknąć stanowczości, bo dzieci naprawdę potrafią wejść na głowę i owinać sobie dorosłego wokół palca. Nie da się pracować w przedszkolu bez kreatywności – musimy mieć w ciekawy sposób przekazać dzieciom nowe wiadomości.

Jak oceniasz obecną sytuację na rynku pracy w tym zawodzie? Jak dużo zmieniło się od czasu, gdy rozpoczynając pracę? Jak wygląda sytuacja finansowa?

→ Wydarzenia z ostatnich lat pokazują, że praca nauczyciela traktowana jest coraz gorzej. Kiedy 11 lat temu zaczynałam pracę w zawodzie, bardzo ciężko było dostać się do pracy do dobrego przedszkola, a tym bardziej do przedszkola państwowego. Teraz mamy sytuację zupełnie odwrotną. Na portalach internetowych dla nauczycieli znajdziemy bardzo dużo ogłoszeń z ofertami pracy dla nauczycieli. Kiedyś dyrektorzy przekładali kilka CV i wybierali tych „najlepszych”. Dzisiaj to nauczyciele wybierają placówki, które im się bardziej podobają. Jeżeli chodzi o sytuację finansową, to od czasu do czasu dostajemy „jakieś” podwyżki, ale nauczyciele często dokładają ze swoich pensji na różnego rodzaju pomoce dydaktyczne, materiały plastyczne, szkolenia itp., więc uważam, że zarobki powinny być lepsze.

Na czym polega umiejętność dobrej, wychowawczej pracy z dziećmi, co tutaj jest najważniejsze?

→ Praca w przedszkolu polega na tym, żeby przekazać dzieciom podstawowe informacje i nauczyć ich najważniejszych umiejętności. Ale nie da się tego zrobić tak jak w szkole: siadamy, otwieramy zeszyty i piszemy..., proszę się nauczyć, bo będzie kartkówka. Nauczyciel w przedszkolu musi to tak zorganizować, żeby dzieci nie tylko nie wiedziały, że czegoś się uczą, ale też, żeby mówiły „ja chcę jeszcze”. No i musi to być dostosowane do wieku i umiejętności dzieci. Zupełnie inaczej wygląda praca z dzieckiem trzyletnim, które musi się nauczyć podstawowych wiadomości i umiejętności, jak np. odróżnianie kolorów, kształtów, współżycie w grupie, samodzielność czy nawet trzymanie kredki i kolorowanie. Z dziećmi sześciolletnimi można już porozmawiać na trudne tematy, jak np. zachowania w różnych sytuacjach, o tradycjach świątecznych czy np. o recyklingu. Praca z dziećmi sześciolletnimi skupia się też na przygotowaniu ich do szkoły: literki, szlaczki, cyferki, dodawanie, odejmowanie itp.

Co sprawia najwięcej trudności?

→ Osobiście najbardziej doskwiera mi zwiększająca się z roku na rok liczba dokumentów, które trzeba wypełniać, aby w razie kontroli każde działanie było dokładnie opisane i uzasadnione. Straszna papierologia. Dużą trudnością okazuje się również kontakt z rodzicami podopiecznych. Czasami naprawdę trudno ich przekonać do zasad obowiązujących w przedszkolu.

A jak osoba nauczyciela w przedszkolu jest postrzegana w społeczeństwie?

→ Wydaje mi się, że nasz zawód nie jest dobrze znany. Bo tak się tylko innym wydaje, że nauczyciel w przedszkolu to ma naprawdę fajnie: nic nie robi, popija kawkę i pilnuje dzieci. Często słyszę z różnych źródeł właśnie takie stwierdzenia. Nie wielu jednak zdaje sobie sprawę, że swobodna zabawa dzieci w przedszkolu to tylko 1/5 ich czasu spędzanego w placówce. Pozostałe 4/5 nauczyciel musi im jakoś zorganizować. Nie możemy powiedzieć dzieciom „naucz się liczyć do 10”. Musimy nauczyć je każdej cyferki, ale w taki sposób, żeby dziecko nawet nie wiedziało, że się uczy. Niejednokrotnie nauczyciel w przedszkolu jest pielęgniarzką (kiedy dziecko skaleczy się w kolanko), kucharką i dietetykiem (podczas przygotowywania zdrowych kanapeczek), tancerką i piosenkarką (podczas zajęć ruchowych dla najmłodszych), aktorką (gdy wciela się w role bohaterów z bajek), psychologiem (bo trzeba znać rozwój dziecka w każdym wieku), wreszcie ukochaną cicią, która przytuli, gdy zatęskni się za mamą i domem.



Co daje Ci praca z dziećmi, jak przenosi się na Twoje życie prywatne?

→ Praca z dziećmi daje mi naprawdę dużą satysfakcję. Jak się robi to, co się lubi, to żadna praca nie jest uciążliwa. Najprzyjemniej jest w przedszkolnej grupie. Dzieci są nieprzewidywalne i to jest super. Nie do opisania są emocje, gdy pięciolatek, który o pisaniu wie naprawdę nie za wiele, przynosi mi namalowany ręcznie obrazek z podpisem: „Koham paniom Ule”. A prywatnie? Jestem mamą trójki dzieci, więc czasami odbija się to także na nich. Zwłaszcza na czasie, który powinnam im poświęcić, a który spędzam na pisaniu jakichś dokumentów czy przygotowywaniu zajęć. Dobrą wiadomością jest jednak to, że z każdym rokiem, gdy nabiera się doświadczenia i gromadzi się różne materiały i pomoce dydaktyczne, staje się to łatwiejsze.



Zawód przedszkolanka wydaje się nam dobrze znany i praktykowany od dziesięcioleci. Jaki wpływ na metody pracy z dziećmi ma rozwijająca się technologia i zmiany w stylu życia?

→ Najnowsze technologie weszły do przedszkoli. Teraz w standardzie są już tablice interaktywne, tablety, laptopy i wiele innych narzędzi, które są wykorzystywane do pracy z dziećmi. Dzięki tej technologii dzieci mogą grać w gry edukacyjne, oglądać specjalne bajki i filmy a nawet programować. Często zdarza się, że nasi podopieczni na sprawach komputerowych znają się dużo lepiej niż my (śmiech). Dlatego coraz częściej jesteśmy wysyłani na różnego rodzaju kursy i szkolenia, żeby być na bieżąco z technologią.

Jak czujesz się ze świadomością, że od tego, jak przeprowadzisz zajęcia, zależy rozwój i przyszłość Twoich podopiecznych?

→ To jest bardzo motywujące. Od tego, czy nauczę dzieci wszystkich literek, podstaw czytania i pisania, cyferek, dodawania i odejmowania, zależy ich dobry start w szkole. A dobry start w szkole to dobry start w dorosłość. Ponadto muszę przygotować dzieci pod względem psychicznym. Każde dziecko kończące przedszkole powinno umieć zachować się w grupie rówieśników, radzić sobie z emocjami, zwłaszcza z tymi trudnymi, jak przegrywanie czy ustępowanie, szanować osoby starsze i wiedzieć, jak się zachować w różnych sytuacjach.

Co jakiś czas w mediach pojawia się kwestia pana przedszkolanka albo inaczej – nauczyciela przedszkolnego. Jak myślisz, czy zawód, który

wykonujesz będzie miejscem, w którym odnajdą się także mężczyźni?

→ Gdy zaczynałam studia, razem ze mną na roku zaczynało dziewięciu panów, skończyło ich trzech lub czterech. Wiem, że jeden z nich nadal pracuje w przedszkolu. Z jednej strony dzieci bardzo sobie cenią pracę z panem, bo jest on dla nich autorytetem, kimś stanowczym i kimś, kto jak tatuś, ma mnóstwo ciekawych pomysłów. Z drugiej strony mężczyźni nie mają tyle empatii, ile posiadają kobiety. Dzieci wolą raczej „dobre ciotce”, które zawsze przytulą, pożałują, powiedzą dobre słowo itd. Panowie w większości nie mają tak dobrze rozwiniętych tych umiejętności, bo tak jest ukształtowana męska psychika. Jeżeli o mnie chodzi, to ja nie mam nic przeciwko panu nauczycielowi, ale dziesiątki wcześniejszych lat pokazują, że panowie nie za dobrze się czują w tym zawodzie (śmiech).

Co mogłabyś powiedzieć osobie, która marzy o pracy pedagoga?

→ Praca nauczyciela jest pewnego rodzaju powołaniem. Jesteśmy odpowiedzialni za rozwój naszych podopiecznych. Jest to praca naprawdę fascynująca, pod warunkiem, że kochasz dzieci, umiesz z nimi rozmawiać, jesteś kreatywna i cierpliwa, a jednocześnie stanowcza. Dzieci są cudowne, zaskakujące i chłoną każde nasze słowo. Bardzo często nasz autorytet jest dużo większy niż własnych rodziców („bo pani powiedziała, że... i to muszę zrobić”). Każdy dzień w tej pracy jest inny, bo z dziećmi nie można się nudzić. I to jest cudowne.

Rozmawiała Kinga Kowal

Kolonijna przygoda z wieloma niespodziankami

Praca wychowawcy kolonijnego to wyzwanie, które wiele może nauczyć.

Wakacje, chłodna noc, urokliwe wzniesienia pasma Rudaw Janowickich i blask Wielkiego Wozu. Godzina 2:00, zmęczona długim dniem jestem właśnie w najgłębszej fazie regenerującego mojego siły snu. – Proszę pani, w naszym pokoju coś straszny! – słyszę cichy i przerażony głos dziesięcioletniej Niny. Chciałabym to zignorować i wrócić do wygodnej poduszki, ale pochylonych nade mną twarzy jest więcej. Czas wykonać interwencję. Zbliżam się do pokoju, wchodzę ostrożnie, patrzę, badam. No cóż, za oknem włączyła się mała lampa, której światło odbija się i kreśli wzory na ścianach. Takie racjonalne argumenty nie przekonały od razu, ale po kilku minutach uspokajającej rozmowy dziewczynki wróciły do snu. Ja również.

Uroczę miasteczko Kowary

Rok wcześniej, na wiosnę ukończyłam kurs wychowawcy kolonijnego. W sierpniu bieżącego roku zdecydowałam się spróbować swoich sił w tej roli. Spędziłam dwa tygodnie w uroczym miasteczku Kowary na Dolnym Śląsku z grupą prawie stu podopiecznych w różnym wieku. I oczywiście z wykwalifikowaną i doświadczoną kadrą wychowawców, którzy pomagali mi przetrwać. Chciałabym podzielić się swoimi spostrzeżeniami, jak to jest uczyć się być pedagogiem.

Tylko kilka dni szkolenia

Aby zdobyć kwalifikacje wychowawcy, trzeba bardzo niewiele. Ukończone 18 lat, wykształcenie średnie, zaświadczenie o niekaralności, aktualne badania lekarskie i ukończony kurs wychowawcy kolonijnego. Można go zrobić w biurze turystycznym, specjalnej szkole lub innej jednostce edukacyjnej. Ogłoszeń warto poszukać na portalach internetowych, ostatnio cieszą się popularnością także kursy online. Szkolenie trwa zazwyczaj kilka dni albo dwa weekendy, kończy się egzaminem i wydaniem kandydatowi zaświadczenia o zdobytych uprawnieniach. Można dodatkowo ukończyć kurs animatora czasu wolnego albo zabaw dziecięcych. Wbrew pozorom, pracę jako wychowawca można znaleźć bardzo szybko. Wystarczy zgłosić się do jakiejś



organizacji prowadzącej kolonię, świetlicy środowiskowej, szkoły organizującej wyjazdy dla swoich uczniów, firmy, która prowadzi wyjazdy wakacyjne dla dzieci swoich pracowników. Ja odnalazłam grupę z ogłoszeniami dla instruktorów i wychowawców na jednym z portali społecznościowych. Odpowiedź na moje ogłoszenie przyszła w ciągu godziny. Wiadomo, nie zawsze jest tak szybko, dlatego najlepiej rozpocząć starania ok. dwa miesiące przed planowanym wyjazdem.

Od świtu do nocy

Kolonie zazwyczaj mają z góry ustalony cel i program ogólny na każdy dzień. Odpowiada za to szczególnie kierownik wyjazdu – na tę funkcję potrzebny jest wyższy kurs i dużo więcej doświadczenia. Nasz dzień zaczynał się ok. godziny 8 albo 9 rano. Pobudka, śniadanie, czas na porządki. Z racji, że mieszkaliśmy u podnóża Sudetów, przed południem wyruszyliśmy na wycieczki po okolicznych wzniesieniach. Niektórym udało się zdobyć Skalnik, najwyższy szczyt w paśmie wspomnianych Rudaw Janowickich. Po obiedzie z kolei urozmaicaliśmy czas poprzez gry sportowe i integracyjne, zajęcia plastyczne, zabawy na boisku, spacer po okolicy albo do centrum miasta. Od czasu do czasu organizowaliśmy dłuższe, całonocne wycieczki do okolicznych miast, zwiedziliśmy np. średniowieczny zamek w Chojniku. Po kolacji na uczestników czekała „atrakcja wieczorna” – czasami dyskoteka, innym razem pokaz filmowy albo wieczór talentów. Kończyliśmy ciszą nocną o godz. 22.

Oczy wokół głowy

Do głównego zadania wychowawcy należy obecność i oczy dookoła głowy niemal 24 godziny na dobę. Brzmi może fantastycznie, ale w praktyce do tego się sprowadza. Każdy opiekun – w naszej kadrze było nas ośmioro plus pani kierownik – dostaje przydzieloną grupę wychowanków. W moim zespole znalazło się 18 dziewczynek. Wychowawca odpowiada za swoich podopiecznych przez całą kolonię, wypełnia wraz z grupą poszczególne punkty dnia. W niektórych momentach



uczestniczy wraz z nimi w zajęciach, w innych jest obserwatorem czuwającym nad bezpieczeństwem dzieci. Czasami musi sam wyjść z inicjatywą i zorganizować czas podopiecznym. Mobilizuje grupę do działania – a czasami już z samą pobudką nie idzie najlepiej. Rozwiązuje zaistniałe konflikty, eliminuje nieodpowiednie zachowania, zacieśnia relacje między uczestnikami i czuwa, aby nikt nie był wykluczony. Przed przyjazdem na kolonię nie miałam pojęcia, kim są moi uczestnicy. Teraz również nie wiem, jak potoczą się ich losy. Ale przez te dwa tygodnie moją rolą było zastępowanie im rodzinnego domu.

Tu „dają szkołę”

Pamiętam dobrze mój dzień przyjazdu na kolonię. To była upalna sobota, zmęczona po sześciogodzinnej drodze autobusem dotarłam z napchaną walizką pod szkołę, w której mieliśmy się zakwaterować. Nie znałam nikogo i nie wiedziałam za dużo. Przyjechałam jako pierwsza, od pani z kuchni przygotowującej obiadokolację usłyszałam tylko pytanie, czy dzieci, które przyjadą będą tak samo niegrzeczne jak ich poprzednicy. Przestraszyłam się. Wychowawczynie, które dojechały chwilę po mnie patrzyły z litością na młodą, niedoświadczoną opiekunkę i wspólnie orzekły, że przejdę tutaj prawdziwą szkołę życia. Dawno nikt nie miał tyle racji, co one.

Kto tu rządzi?

Czy coś mnie zaskoczyło? Prawie wszystko. Nasi podopieczni pochodzili z różnych rodzin i różnych środowisk, często bardzo destrukcyjnych, wiele dzieci potrzebowało zainteresowania i wsparcia, inne przytemperowania swojego charakteru. Jak połączyć to wszystko, gdy grupa liczy 20 osób? To była moja pierwsza trudność, bo na to nie wynaleziono metody. Część uczestników zupełnie nie była zainteresowana programem wyjazdu. Spacer, wycieczka, zawody – to było nudne, woleli zamknąć się w cyfrowym świecie. Zdarzały się kłótnie w mniejszych grupkach, dziewczynom zawsze było trudno o zgodę. Posmarowanie w ramach odwetu poduszki masłem może

wydawać się śmieszne, ale dla dziewczynki, którą to spotkało, była to niemała tragedia. Namawianie do jedzenia, wymuszanie oddania telefonu, ustawianie w parach przez pół godziny, czekanie na spóźnialskich, nagrody za posprzątanie naczyń sprzed dwóch dni, znoszenie z kamienną twarzą totalnego braku szacunku – to tylko kilka migawek z naszej codziennej rzeczywistości. Na pewno nigdy nie zapomnę pilnowania spokoju podczas ciszy nocnej. O mało nie zasnęłam szybciej, niż moje podopieczne.

Ekspresowe zdobywanie umiejętności

Czy warto było tam być? Dla naszych wychowanków na pewno tak. Pod koniec wyjazdu czułam już więź i bliskość, jaka się między nami wytworzyła. Potrzebowali takiego wyjazdu, dużo na nim skorzystali. A może jakieś ziarenko z naszych wychowawczych metod zasiało się w ich sercach? Dla młodego, niedoświadczonego wychowawcy taka kolonia jest uświadomieniem sobie, jak bardzo różne i wymagające indywidualnego traktowania jest każde dziecko. Umiejętność podchodzenia do każdego z miłością i łagodnością przy jednoczesnym ustalaniu twardych granic i konsekwencji, to coś, co ćwiczyliśmy w praktyce każdego dnia. Wreszcie kreatywność, zdolność szybkiego zorganizowania ciekawego zajęcia i zmotywowanie do wykonania jakiejś pracy – to także przydaje się w życiu. I oczywiście spokój i wewnętrzne opanowanie. Można opracować skuteczne metody radzenia sobie ze stresem. Będąc wychowawcą kolonijnym, zwiedza się także dużo ciekawych miejsc, poznaje świat, słucha mądrych ludzi, można nawet poćwiczyć kondycję fizyczną. Zdradzę na koniec, że nie zawsze jest tak stresująco, poważnie i bezradnie – wychowankowie nie pozwalają być smutnym za długo. Pewnego wieczoru musiałam zmierzyć się z bardzo trudnym pytaniem od uczestniczki: Czy to normalne, że ktoś zakochuje się na kolonii? Od jej koleżanki z pokoju nauczyłam się natomiast, jak jeść cappuccino w proszku, nie zalewając go wodą. Takie bezcenne informacje tylko z dziećmi na kolonii!

Przygoda z wieloma niespodziankami

Trudno jest w jednym artykule przedstawić dwutygodniową przygodę i ogólną rzeczywistość pracy wychowawcy kolonijnego. Bo z pewnością jest to przygoda – niezwykła, z wieloma niespodziankami, zwrotami akcji i mądrymi lekcjami w pakiecie. Pewnie nie każdy nadaje się do tego, aby ją przeżyć, przyda się bez wątpienia kandydatom na pedagogów, ale nie zaszkodzi nikomu, kto chce kiedyś mieć styczność z młodszymi od siebie ludźmi. Nawet wtedy, gdy uważasz siebie za beznadziejnego opiekuna i chcesz jak najszybciej wracać do domu, za kilkanaście lat możesz spotkać swojego podopiecznego i usłyszeć, że nakierowałeś jego życie na inne tory. Wtedy nawet dla tej jednej osoby i dla samego siebie będzie warto. Poza tym, kiedyś trzeba przecież przejść swoją pierwszą szkołę życia.

Kinga Kowal



Krakowski Dzień Samorządu Uczniowskiego

Gildia Samorządów Uczniowskich daje szansę na współpracę pomiędzy radami uczniowskimi.

Organizują szkolne festyny i dyskoteki, akcje charytatywne, przygotowują wydarzenia kulturalne i turnieje sportowe. Samorządy uczniowskie dbają, by na co dzień szkoła nie była nudna. 23 października uczniowie szkół ponadpodstawowych spotkali się podczas Krakowskiego Dnia Samorządu Uczniowskiego.

Krakowski Dzień Samorządu Uczniowskiego jest świętem uczniów zaangażowanych w działalność samorządową. W Kärcher Hali Cracovii – Centrum Sportu Niepełnosprawnych przy al. Focha 40 spotkało się ponad stu samorządowców.

– To spotkanie jest szansą na nawiązanie współpracy z innymi radami uczniowskimi. Można tu uzyskać nową energię i usłyszeć, jak zdobyć nowe umiejętności. Samorząd umiła życie innym uczniom i sprawia, że szkoła to nie tylko nauka – uważa Kamila, uczennica I Liceum Ogólnokształcącego.

Wydarzenie było okazją do wymiany doświadczeń oraz pomysłów. Uczniowie mogli poznać działania samorządów w innych szkołach oraz dowiedzieć się, jak rozwiązywano problemy. Impreza pozwoliła również poznać nowych kolegów i koleżanki.

Podczas wydarzenia młodzież brała udział w warsztatach, których celem była rozmowa na tematy szczególnie ważne dla uczniów. Dzięki zajęciom samorządy mogły pracować nad zaproponowanymi zagadnieniami. W ramach wspólnej zabawy uczniowie wzięli również udział w karaoke. Na uczestników czekał także smaczny poczęstunek.



Fot. Marcin Cieślak

Podczas Krakowskiego Dnia Samorządu Uczniowskiego zaproszono uczniów do zaangażowania się w nowy projekt, jakim jest Gildia Samorządów Uczniowskich. Inicjatywa ma umożliwić nawiązanie współpracy między szkołami i samorządami. Pozwoli to młodzieży tworzyć wspólne projekty i uczyć się od siebie.

(tt)

Informacje o tym, jak zgłosić samorząd do udziału w Gildii i wedle jakich zasad będzie ona działała, dostępne są na stronie www.mlodziez.krakow.pl



Fot. Marcin Cieślak



Fot. Marcin Cieślak

Smartfon pomoże w nauce

Gdy nudzi nas tradycyjne uczenie się, pomocną dłoń wyciągają aplikacje mobilne i portale internetowe wspomagające naukę z różnych dziedzin.

Powiedzmy sobie szczerze – siedzenie z nosem w książkach w pewnym momencie staje się nudne. Literki i cyferki zaczynają wirować przed oczami, a my... wciąż mało umiemy. Pomocną dłoń wyciągają aplikacje mobilne i portale internetowe, wspomagające naukę z różnych dziedzin. Wiadomo, że nic nie przebije naszych niezastąpionych nauczycieli, ale może warto spróbować?

Internetowa akademia

Wciąż borykamy się ze zrozumieniem różnych zagadnień z takich przedmiotów jak matematyka, fizyka czy biologia. Na pomoc śpieszy bezpłatny amerykański portal internetowy Khan Academy, dostępny także w postaci aplikacji mobilnej. Znajdziecie tam świetnie i prosto wytłumaczone zagadnienia z przedmiotów ścisłych, przyrodniczych, ale także humanistycznych, takich jak historia świata i sztuki. Znajdują się

tam także kursy informatyczne: programowanie, animacje, tworzenie stron internetowych i wiele innych. A jeśli chcielibyście kiedyś zaistnieć na rynku produkcji i dystrybucji, Khan Academy oferuje naukę ekonomii i finansów.

Kursy składają się z krótkich filmów, fragmentów do przeczytania, zadań i quizów sprawdzających wiedzę. Najbardziej rozbudowana jest matematyka. Tłumaczona bardzo przystępnie – w pierwszej chwili wydała mi się podejrzanie prosta. Natomiast objaśniane tematy wychodzą poza program liceum. Kursy oczywiście nie są ułożone po kolei, tak jak wygląda materiał w polskich szkołach, jednak opłaca się trochę pogrzebać, nawet jeśli nie zawsze znajdziemy to, co nas interesuje. Część kursów nie jest jeszcze dostępna w języku polskim, jednak przetłumaczonych lekcji jest coraz więcej. A posługiwanie się językiem angielskim staje się powszechniejsze.



Rozplątać język

A skoro już jesteśmy w temacie języków, to należy wspomnieć o portalu internetowym Duolingo. Zapewnia on bezpłatny dostęp do nauki ponad 30 języków. Kurs języka angielskiego jest po polsku, a pozostałe po angielsku. Naukę wspomaga rywalizacja z innymi użytkownikami, nagrody i odznaczenia. Za tzw. „lingoty” – wirtualne pieniądze – można kupić kolejne opcje, czyli dodatkowe lekcje czy testy ze znajomości języka. W ten sposób nauka staje się jednocześnie świetną zabawą. Materiał powtarzany jest wiele razy, przez co wiedza jest utrwalana, a informacje w naszej głowie zostają na dłużej. Dzięki temu nauka z tą aplikacją nie jest tylko zakuwaniem i zapominaniem, ale faktycznym poszerzaniem umiejętności językowych – szczególnie w zakresie słownictwa. Z Duolingo korzysta ponad 100 milionów użytkowników.

Naukę języków wspiera także aplikacja Mango Languages. Zawiera nieco więcej objaśnień gramatycznych niż Duolingo i daje możliwość nauki aż 71 języków.

Wzory zawsze pod ręką

Za chwilę sprawdzian z fizyki, a wszystkie wzory magicznie wyparowały ci z głowy? Pod ręką zawsze jest aplikacja Wzorowo – baza wzorów naukowych podzielonych na dziedziny nauki. Stworzyli ją Przemysław Gędzba i Adam Białecki – student informatyki na Politechnice Krakowskiej oraz uczeń krakowskiego technikum. Wystarczy chwila, żeby do niej sięgnąć i przypomnieć sobie potrzebne informacje. Przedmioty, jakie tam znajdziesz, to matematyka, fizyka, chemia, geografia i informatyka. Aplikacja jest wciąż uzupełniana, a niedługo wzbogaci się o informacje z zakresu elektroniki i mechaniki.

Literatura w pigułce

Jeśli fascynuje cię literatura albo po prostu potrzebujesz pomocy w przetrwaniu lekcji polskiego, to zachęcam do zajrzenia na stronę Streszczenia.pl. Znajduje się tam cała masa opracowań lektur ze wszystkich epok literackich. Od dzieł Homera po „Baśniobór” i „Wakacje Mikołajka”. Co prawda nie znalazłam „Zwiadowców”, ale... jest tam niemal wszystko, nawet „Kubuś Puchatek”. W serwisie opublikowano też biografie autorów, opisy każdej epoki i motywy literackie. Dla pasjonatów ten portal może się okazać prawdziwą skrzynią skarbów.

Pytania – odpowiedzi

Fiszki to bardzo prosty i skuteczny sposób nauki. Aby nie musieć tworzyć i trzymać miliona karteczek z pytaniami i odpowiedziami, możesz skorzystać z aplikacji AnkiDroid. Umożliwia ona tworzenie własnych folderów z fiszkami, ale także pobieranie już stworzonych. Przy przeglądaniu swoich pytań można wybrać, czy odpowiedź przypominała się łatwo, czy jeszcze trzeba nad nią popracować. Dzięki temu aplikacja częściej zadaje trudniejsze dla użytkownika pytania, a te wyuczone coraz rzadziej.

Poszerzanie horyzontów

TED Talks to nie tyle portal przydatny do nauki w szkole, co po prostu rozwijający spojrzenie na świat. TED jest organizacją non-profit, a na jej stronie znajduje się mnóstwo krótkich, zwykle kilkunastominutowych zapisów wideo wykładów na rozmaite tematy, od astronomii, przez AIDS po taniec. Wykładom towarzyszą polskie napisy, więc nie ma bariery językowej. Może akurat znajdziesz coś, co cię zainteresuje, bo jest w czym wybierać.

Lidia Kędra



(Ki)nowe



W przeszłości nie byłem wielkim fanem teatru. A potem, wraz z klasą z liceum wybrałem się na transmisję „Hamleta” z Benedictem Cumberbatchem.

Nie ma się co oszukiwać, obecnie teatr nie jest popularną formą rozrywki. Kino wyparło go niemal całkowicie. Oczywiście, jest to związane z mocniejszą obecnością popkultury w filmach, ale także z wieloma innymi czynnikami. Zanim pójdziemy do kina, dopadną nas trailery, recenzje, plakaty promocyjne. Nowi Avengers „wgryzają się” w świadomość przeciętnego zjadacza chleba dużo bardziej niż nowy spektakl w Teatrze STU. Co więcej, teatr ma jeszcze tę wadę, że w szkole wielokrotnie katowano nas tekstami najróżniejszych klasycznych sztuk, które, z mojego punktu widzenia absolutnie nie nadawały się do czytania. Cóż to zresztą za kuriozalny pomysł, żeby coś, co napisano z myślą o wystawianiu na scenie omawiać tylko po przeczytaniu?

Daj szansę teatrowi!

Do kina przyciąga także obsada. Większość z nas zna co najmniej kilku filmowych aktorów, ale zapewne już nie tak wiele osób może pochwalić się podobną znajomością artystów, którzy występują na deskach teatru. Nie bez znaczenia pozostaje wreszcie kwestia ceny. Bo choć popcorn jest horrendalnie drogi, kino wciąż pozostaje tańsze.

Do teatru warto chodzić, bo to sztuka zupełnie inna niż kino – bardziej osobista, wyraźniej ekspresyjna, mocniej pobudzająca wyobraźnię. Przy okazji może się też okazać, że wszystkie te obrzydliwe klasyki to w rzeczywistości wspaniałe historie, opowiadające o żywych ludziach i aktualnych problemach. Ale, żeby mieć szansę przekonać się o tym, trzeba zobaczyć je na scenie w interpretacji aktorów.

NTL – teatr w kinie

Jednak kino to również świetny kawał sztuki, a i dzisiejsza popkultura ma do zaoferowania kilka cennych obrazów. Nie mam więc zamiaru wygłaszać tez o wyższości teatru nad kinem bo to dwa zupełnie różne, w pełni odrębne i wartościowe media. Chciałbym jednak przybliżyć idee poznawania teatru poprzez kino, która została zrealizowana przez projekt National Theatre Live.

Wspomniany projekt Live to cykl transmisji z najlepszych brytyjskich teatrów. W kinach w całej Polsce, między innymi w krakowskim Kijowie czy też Multikinie można zobaczyć największe teatralne hity wprost z Londynu, z polskimi napisami. I jest to doświadczenie iście piorunujące.

Szekspir ożywa

W przeszłości nie byłem wielkim fanem teatru. Jedynym, jaki znałem, polski, błędnie kojarzył mi się z kilkoma kiepskimi przedstawieniami, na które zaciągnięto mnie w gimnazjum. Ten zagraniczny utożsamiałem ze sztukami Szekspira, do których po przymusowej lekturze w szkole również nie pałałem szczególną sympatią. A potem, wraz z klasą z liceum wybrałem się na transmisję „Hamleta” z Benedictem Cumberbatchem.

I, ku mojemu zdumieniu, zakochałem się w teatrze. Okazało się, że scenariusz mistrza z Stratford-upon-Avon jest nie tylko wspaniałą historią o zrozpaczonej, rozdartym człowieku, ale też zawiera mnóstwo czarnego humoru i ironii. Hamlet w interpretacji Cumberbatcha wreszcie jawił mi się jako postać z krwi



oblicze teatru



Fot. gdegraphics (Wikipedia/CC)

Ralph Fiennes

i kości, a nie dziwoląg wyrażający się pustymi frazesami. Zaś wizualna strona spektaklu, ogromna scenografia pałacowej sali i wieńczący sztukę pojedynek, dosłownie wywoływały ciarki.

Różne odcienie sceny

Transmitowane w ramach NT Live sztuki są niezwykle różnorodne. Nierzadko do bólu klasyczne w tekście, jak i aranżacji: przykładem może być wspomniany wcześniej „Hamlet”. Bywają jednak i reinterpretacje klasyków, wśród których warto nadmienić postapokaliptyczną wersję „Makbeta” pełną groteskowo-horrorowych elementów. Ale przecież nie samym Szekspirem angielski teatr stoi! W repertuarze projektu znajdziemy także poważne i szczerze głębokie sztuki z XX wieku: „Kto się boi Virginii Woolf?”, „Kotka na gorącym, blaszanym dachu”, jak i współczesne przedstawienia. Na mnie największe wrażenie zrobił „Amadeusz” z Lucianem Msamati: sztuka na tyle poruszająca, że nie potrafiłem przestać o niej myśleć przez kilka dni. Pasjonująco-magnetyczna opowieść o ambicji, nierozumianym geniuszu i zazdrości dosłownie zaryła się w mojej pamięci i do dziś stanowi dla mnie ideał arcydzieła kultury. Niestety, Amadeusz nie znajduje się już w repertuarze NT Live.

Zaawansowana technika teatralna

Pierwszym, co rzuca się w oczy w transmitowanych sztukach, jest absolutnie fenomenalna realizacja. Wszystkie spektakle, jakie dane mi było zobaczyć, odznaczały się niezwykle scenografią. Do dziś pamiętam opad szczęki, jaki zafundował mi „Frankenstein”. Na jednej scenie, bez żadnych cięć, ukazano dom w środku lasu, pędzącą i plującą prawdziwym ogniem kolej, biegun, samotną wyspę na oceanie i zamglone jezioro. Pod względami technicznymi brytyjski teatr deklasuje polski.

Wybitne aktorstwo

Nie mniejsze wrażenie robi aktorstwo. W głównych rolach często możemy ujrzeć światowe sławy, a takie aktorskie kreacje jak Ralpha Fiennesa („Harry Potter”, „Lista Schindlera”) odgrywającego Antoniusza czy Conletha Hilla („Gra o Tron”) jako George’a w „Kotce na gorącym, blaszanym dachu” na długo zostają w pamięci. NT Live to także okazja do zobaczenia znanych aktorów w nietypowych dla nich rolach – Benedict Cumberbatch przyzwyczał nas już do odgrywania aspołecznych geniuszy, a na deskach londyńskiego teatru możemy ujrzeć go chociażby jako niezgrabne, acz pełne uczuć monstrum doktora Frankenstein.

Dlaczego warto chodzić na transmisje National Theatre Live? Bo dzięki nim możemy zobaczyć wspaniale zrealizowane przedstawienia ze światowej klasy aktorami w cenie niewiele wyższej od biletu do kina. Szczercie polecam, szczególnie zaś tym, którzy za teatrem nie przepadają. Może po prostu nie widzieliście jeszcze żadnej porządnie zrealizowanej sztuki?

Jakub Leśkiewicz

**National
Theatre
Live**

Pablopavo i ludziki; Marginał i Mikrotyki

Twórczość Pablopavo i ludzików balansuje pomiędzy stylami muzycznymi i stanowczo nie można jej zaszufładować do żadnego z nich.

2009 – w tym roku pojawiła się debiutancka płyta zespołu Pablopavo i ludziki, zatytułowana „Telehon”. Album raczej undergroundowy, jednak zgarnął parę przychylnych recenzji krytyków i, co pewnie ważniejsze, sporą grupę fanów. Twórczość Pablopavo i ludzików balansuje pomiędzy stylami muzycznymi i stanowczo nie można jej zaszufładować do jednego z nich. Jest to po trochu blues, reggae, rock, elektronika, a nawet poezja śpiewana. Sam Pablopavo, czyli lider zespołu, a właściwie Paweł Sołtys, ujmuje to tak: – Muzyka jest jedna i wszyscy ci najwięksi, ci, którzy zmieniali jej historię, znajdują się poza stylami. My oczywiście najwięksi nie jesteśmy, ale chcielibyśmy być. Nostalgiczne melodie rodem z PRL-owskich dancingów, jamajskie rytmy i elektroniczne bicie, a do tego teksty, których bezdyskusyjnie nie można nazwać banalnymi czy schematycznymi. Taka właśnie jest twórczość Pablopavo i ludzików.

Z nostalgią do PRL-u

Najnowsza płyta Pablopavo i ludzików ukazała się w 2018 roku i nosi tytuł „Marginał”. Dwa utwory z niej: „Karwowski” i „Świątła na statku” dość długo okupowały listę przebojów radiowej Trójki. Pierwszy utwór płyty to „Marginał Intro”, wzorowane na hip-hopowych produkcjach, zawierające mocną autopromocję: „Drogi słuchaczu/Mamy coś specjalnie dla ciebie/Nazywa się/To świetny moment/Żeby wysłuchać tej jakże ciekawej płyty”.

Pablopavo chętnie śpiewa o przemijaniu, z pewną nostalgią nawiązuje do PRL-u. Piosenki zwykle opowiadają o sytuacjach z życia z całkiem zwyczajnymi bohaterami, a w piosenkach dźwięczą ulice i osiedla Warszawy. Tak więc nie dziwne, iż jeden utwór nosi nazwę osiedla – „Ochota”: „Bo miłość w okolicy nie jest z serialu TVN, czy tam TVP – Py” śpiewa zespół, a melodyjne „Ochota, Ochota, Ochota” powtarza się raz po raz.

Sztuka opowiada o życiu

Właściwie trudno jest mi oddzielić teksty pisane przez Pawła Sołtysa od jego książki „Mikrotyki”. Zarówno w piosenkach, jak i w prozie Pablopavo wykazuje dużą chęć do opisywania, przedstawiania często z pozoru banalnych historii, właściwie całkiem zwykłych ludzi. Większość z nas nie zwraca na takie rzeczy uwagi, a już na pewno raczej nie uznaje życia swojego sąsiada za temat dla sztuki. Szkoda, bo problemy, awantury, ale i często niespełnione nadzieje zwykłych Kowalskich tworzą rzeczywistość wokół nas. A w każdym razie bardziej niż patetyczne historie o pięknej miłości czy letnie, wesołe arkadie, które są częstym tematem muzyki ciągnącej mimowolnie gdzieś z samochodowego radia czy w jakiejś poczekalni.

„Mikrotyki” właściwie można nazwać zbiorem opowiadań. Niektóre utwory są bardzo krótkie, niby mgiełka jakiegoś wspomnienia. W tej niezbyt długiej książeczce można odnaleźć samotność, dzieciństwo, młodość, miłość... Ale też stare garnki, które stają się głównymi bohaterami jednego z opowiadań, czy też staruszką uderzającego po głowie pokaznym tomem opowiadań Iwaszkiewicza...

Piosenki z noblistą

Rzeczą, która na płycie „Marginał” szczególnie przykuwa uwagę, są muzyczne interpretacje dwóch wierszy noblistów – „Piosenki” Czesława Miłosza i „W przytułku” Wisławy Szymborskiej. „W przytułku” bardzo wpada w ucho i przyjemna melodia tego, jednak smutnego, wiersza, nasuwa mi właściwie trochę odmienną interpretację. Jednak fatalistyczna wizja świata Miłosza w „Piosence”, która jest nieco hip-hopowa i elektryczna, jest czymś naprawdę ciekawym i wartym posłuchania.

Pablopavo i ludziki jest zespołem na pewno wartym uwagi i stanowi ewenement na polskiej scenie muzycznej. Choć nie jest może najbardziej znany, też trudno go nazwać całkiem niezauważanym i niedocenianym. W końcu ilu istnieje wykonawców tak dobrze balansujących pomiędzy stylami? Ludzi potrafiących tak trafnie oddać słowem rzeczywistość wokół nich?

Zuzanna Bober



Wiatr od FIORDU

**Życie lubi przygody.
Celem naszej wyprawy
była Norwegia.**

Fot. Wiktorina Łyko

Przygoda związana z podróżą rozpoczęła się już w Krakowie. Ekipa liczyła 7 osób. Staliśmy przed bagażnikiem i zastanawialiśmy się, jak spakować wszystkie nasze pakunki. Cała ta sytuacja wyglądała jak gra w tetrisa na żywo. Jeszcze dwa lata temu nie pomyślałabym, że zdecyduję się na tak daleką wyprawę. A tym bardziej, że będę spać w obcym kraju, pod namiotem i... na dziko. Życie lubi przygody. Celem naszej wyprawy była Norwegia.

Nietypowa kontrola

Pierwszym miejscem docelowym podczas podróży był camping w Szwecji. Zanim jednak tam dotarliśmy, musieliśmy przejść nietypową kontrolę. Urzędniczka służby celnej kazała nam wyjść z busa. Pytała między innymi „gdzie jedziemy”, „po co”, „skąd się znamy”, „z jakiej fundacji”, „czy odpowiada nam towarzystwo mężczyzn”. Nie wiemy, dlaczego akurat nasz bus został tak skontrolowany. Być może zwróciliśmy na siebie uwagę tym, że nasza ekipa składała się wyłącznie z młodych dziewczyn, a Szwecja intensywnie przeciwdziała prostytucji. Po 15 godzinach podróży dotarliśmy szczęśliwie do Askim.

Camping w Askim

Camping był ogromny, jednak oprócz nas stały na nim jedynie 3 inne namioty, reszta to kampery i małe domki. Niedaleko nas znajdował się duży kamper z przedsiionkiem oraz rozłożoną na ziemi „podłogą”. W przeliczeniu na polskie pieniądze nocleg kosztował około 600 zł za dwa namioty, za jedną tylko noc. Camping znajdował się w małowniczej okolicy, ponieważ Askim to miasteczko małych portów z jachtami. Nie było żadnych chodników, głównie bardzo ładne moło, ścieżki przez wielkie łąki oraz lasy. Przy porcie, na wzniesieniach usytuowano kilka punktów widokowych. Każdy pagórek został otoczony piękną różową rośliną podobną do lawendy. Niestety, jak dotąd nie udało mi się odkryć, jaki to gatunek.

Trolle pilnują Oslo

Oslo mogą nazwać „młoda” stolicą europejską. W porównaniu do innych stolic naszego kontynentu mało tu zabytków. Natomiast na każdym kroku znajdziemy pomnik poety, fundatora uczelni, króla itp. Większość budynków jest szklana, nawet sklepiki z pamiątkami, restauracje, czy sklepy z ubraniami. Budynki są duże i surowe. Sprawiają wrażenie ekskluzywnych. Nawet zwykły akademik wydawał się hotelem.

Oczywiście, na każdym kroku można było napotkać figury trolli – postaci z norweskich ludowych wierzeń. Według starych podań trolle bywały i wielkie, i małe, ale zawsze silne, złośliwe i niebezpieczne. W oczy kłuła ich brzydota, ogromne nosy i oczy jak cynowe talerze. Były wrogo nastawione zarówno do ludzi, jak i bogów. Nie znosiły światła słonecznego, dlatego pojawiały się wyłącznie w nocy. W sklepie z pamiątkami stworzono nawet specjalne „przejście” do wioski trolli. Stworzenia te w Norwegii są obecne wszędzie. Tajemnicze „wieże z kamyków” to trolle, którym nie udało się ukryć przed wschodem słońca. Norwedzy naprawdę wierzą w te stworki.

W trosce o czyste powietrze

Teoria mówiąca, że w Oslo są same Tesle, okazało się prawdziwa. Norwedzy bardzo chętnie poruszają się tymi elektrycznymi samochodami. Widzieliśmy nawet Tesle L-ki. Jest jednak w tym cel: Norwedzy bardzo dbają o środowisko. Mimo, że Norwegia jest jedną z potęg wydobywających ropę naftową, ma bardzo drogą benzynę. Norwedzy walczą z zanieczyszczeniem środowiska i produkcją dwutlenku węgla. Dlatego w Norwegii Tesłę kupimy bez podatku, dostaniemy również domową ładowarkę elektryczną. Parking na samochody elektryczne znajdziemy w każdym miejscu.





Fot. Wiktorja tyko



→ Noc na dziko

Naszym głównym i najważniejszym celem było Bergen. Z Oslo jechaliśmy tam trasą widokową. Nie przewidzieliśmy jednak, że okaże się ona tak długa, że jedną trzecią odległości będziemy przemierzać po ciemku. Przed wyjazdem dużo czytałam o drogach w Norwegii. Zwłaszcza o wypadkach spowodowanych przez wbiegającego na drogę łosia – podczas podróży do Bergen zdarzyło nam się spotkać to zwierzę.

Po paru godzinach męczącej drogi kierowcy zdecydowali o nocnym postoju, by odpocząć. Dowiedziałam się o tym po fakcie... Wyobraźcie sobie taką sytuację: zostaliście obudzeni w środku nocy, wychodzicie z busa, patrzycie na prawo – ciemno, patrzycie na lewo – ciemno. Gdyby nie światła samochodu, weszlibyście w drzewo. Jak tu tak spać... Na dziko?

A musieliśmy się przespać, nie było innego wyjścia. W dodatku w nocy słyszałam dziwne dzwoneczki. Przypomniały mi się wtedy wszystkie horrory, a ta noc na długo pozostanie w mojej pamięci. Po przebudzeniu ujrzałam przepiękne fiordy, a my spaliśmy w cudownej dolinie, między dwoma szczytami. Tajemniczymi dzwoneczkami okazały się... owce, które towarzyszyły nam przez całą noc. To było moje pierwsze spotkanie z fiordami.

W krainie fiordów

Czym są te niezwykle cuda natury? Fiordy to wąskie, otoczone stromymi brzegami zatoki, wciskające się w ląd nawet na kilkaset kilometrów. Mogą mieć głębokość nawet ponad kilometra. Fiordy można znaleźć w wielu miejscach na świecie – na Grenlandii, na Półwyspie Labrador, w Nowej Zelandii czy chilijskiej Patagonii. Wszystkie mają niezwykły urok i wielu wielbicieli. Ale to w Norwegii fiordów jest najwięcej, no i właśnie tu są one najpiękniejsze... Najbardziej spektakularne fiordy skupione są w zachodniej części kraju, nie bez przyczyny zwanej „Krainą Fiordów”. Dlatego ruch na nich jest ograniczony. Mieszkańcy podróżują często promami, bo jest szybciej i wygodniej. Drogę również ułatwiają tunele. Pierwszy raz widziałam rondo,

a nawet skrzyżowanie znajdujące się w tunelu drogowym. Zaskoczyła mnie też oddzielna ścieżka dla biegaczy narciarskich.

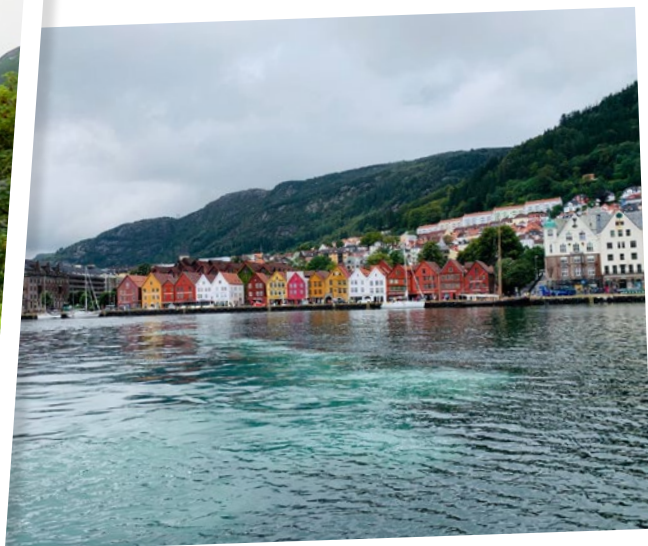
Największym norweskim fiordem jest Sognefjord, położony na północ od Bergen. Liczy 204 km długości i uważany jest za najdłuższy fiord na świecie. Imponuje też jego głębokość, bo jest to aż 1300 metrów!

Co tak chłapie?

W drodze do Bergen co kilkaset metrów napotykałymi wodospady. Zazwyczaj były to dzikie wodospady, niektóre mogły powstać nawet poprzedniego dnia z powodu nocnej ulewy. Jednym z piękniejszych jest Tvindefossen. Jego główną atrakcją jest sama droga do wodospadu. Oglądany z daleka nie wydaje się „spektakularny”, jednak liczy sobie 110 m wysokości. Wiatr wytworzony przez spadającą wodę jest tak silny, że bardzo trudno do niego podejść i utrzymać się na nogach. Wodospad jest silny, zwłaszcza w porze deszczowej. Dlatego podchodząc do niego należy się zaopatrzyć w dobrą wodoodporną kurtkę lub pelerynę.

Malownicze Bergen

Naszym głównym i końcowym celem wyprawy było Bergen, urokliwe, portowe miasteczko. Nie porównam go do żadnego miasta, które widziałam. Bergen jest miasteczkiem na fiordach, jednocześnie sąsiaduje z górami i Morzem Północnym. Architektonicznie miejscowość jest miksem tradycyjnych budynków i nowoczesnych biurowców. Miasto żyje z turystyki, sklepy sprofilowano tak, by turystów zachęcić do zakupów. Tutejszy sklep zazwyczaj podzielony jest na dział z klasycznymi pamiątkami i dział z ubraniami. Furorę robią swetry norweskie, kurtki a nawet cały komplet stylizacji. Ceny ubrań osiągają kosmiczny wymiar, przekraczają 2000 zł. Odwiedziliśmy słynne, średniowieczne wybrzeże Bryggen, które wypełniają malownicze domki, z różnymi atrakcjami. Na przykład z tradycyjną piekarnią, gdzie jest wypiekany chlebowy „ślimak” z cynamonem – przysmak Norwegów, warty swojej ceny!



Parking w jaskini

Dużą atrakcją był dla nas parking podziemny... w jaskini. Znajdował się on całkowicie pod centrum miasta. Był ogromny, jednak niski i drogi. Kolejną atrakcją był targ miejski przy porcie w Bergen. Wielkie stoiska, z wielkimi położonymi na lodzie rybami, z serami norweskimi jak brunost, kielbaskami podobnymi do salami. Oczywiście na targu spotkaliśmy różne norweskie przysmaki, głównie z mięsa renifera, łosia a nawet walenia. Dlatego na targu kupiliśmy bardzo dużo rzeczy, by spróbować nowych smaków. Ceny niektórych produktów wydawały się księżycowe. Później okazało się jednak, że większość produktów, które kupiliśmy, mogliśmy też znaleźć w sklepach sieciowych w o wiele niższej cenie.

Ceny jak z kosmosu

Ceny w Norwegii to bardzo trudny temat – jest tam drogo. Bardzo dużo czytałam o cenach, jednak na żadnym blogu nie znalazłam informacji o różnicy cen między targami miejskimi a sklepami sieciowymi typu Spar czy Kiwi. Różnica czasami wynosiła ponad 50 zł. Przekonałam się o tym, niestety, na własnym portfelu. Dlatego najlepiej jest robić zakupy w sklepach sieciowych. Możemy w nich kupić typowo tradycyjne przysmaki norweskie, takie jak ser brunost. Podczas gdy ser w większości krajów wytwarzany jest ze zsiadłego mleka, norweski brunost powstaje z serwatki, czyli produktu ubocznego wytwarzanego przy produkcji tradycyjnego sera. Do serwatki dodaje się mleko, a następnie śmietanę i gotuje tak przez kilka godzin. Zawarta w mleku laktoza krystalizuje się, mieszanka gęstnieje i zamienia się w karmel, który nadaje serowi charakterystyczny koloru, zapachu i przede wszystkim słodkiego



smaku. Dlatego brunost dzieli Polaków: jednym smakuje i wręcz są oczarowani tym serem, jednak innym nie podchodzi i określają go jednoznacznie jako „paskudztwo”. Norwedzy używają go jako dodatku do prawie każdej potrawy, do sałatki, do deseru a nawet do mięsa.

W stronę lodowca

Kolejną atrakcją, którą chcieliśmy zobaczyć był lodowiec Folgefonna. Ponieważ trasy prowadzącej do niego nie znaleźliśmy na żadnym podróżniczym blogu ani w informacjach turystycznych, musieliśmy ją wyznaczyć sami. Oczywiście z pomocą „wujka Google”. I tak wywołaliśmy kłopoty. Pierwszą przeszkodą okazał się prom, który nie należał do najtańszych. Dopiero dzięki uprzejmości miłego Norwega dowiedzieliśmy się, że droga na lodowiec nie należy do najłatwiejszych. Wyjaśnił nam też, że bez „karty mieszkańca” za większość dróg i przejazdów zapłacimy. Jeszcze później okazało się, że aby zobaczyć lodowiec, trzeba przejść kawałek drogi, a żeby na niego wejść, trzeba zapłacić za wejście z przewodnikiem. Wejścia na szczęście są w przystępnej cenie, w zależności od poziomu zaawansowania wspinaczki. Są trasy trudniejsze oraz łatwiejsze.

Najpiękniejsza podróż

Niestety nie udało nam się zobaczyć Folgefonna z bliska, ale podziwialiśmy go z punktu widokowego położonego w pobliskim fiordzie. Nie przypomina nam góry lodowej z „Epoki lodowcowej” czy „muru” z „Gry o Tron”. Z naszego punktu wyglądał jak wielka zaśnieżona dolina, w ciemniejszym odcieniu koloru białego. Co było niesamowite, reszta gór nie była pokryta śniegiem, dlatego lodowiec był wyjątkowy. Podczas drogi widzieliśmy jednak zaśnieżone półki skalne, możliwe, że to również były swojego rodzaju małe lodowce, ale nie znaleźliśmy ich na żadnych listach atrakcji.

To była jedna z najlepszych podróży w moim życiu. Była to moja pierwsza samodzielna przygoda w towarzystwie najbliższych osób.

Pogoda w Norwegii w okresie sierpniowym niestety nie jest najlepsza. Deszcz uniemożliwił nam dotarcie do atrakcji, a na większość z punktów widokowych możemy się dostać pieszo. Dlatego do Norwegii nawet latem warto się wybrać z wygodnymi butami oraz ciepłą kurtką przeciwdeszczową.

Wiktoria Łyko



Pirat czyli złodziej

Piractwo komputerowe to zjawisko, którego skala, pomimo nieznacznych spadków w ostatnich latach, wciąż przytłacza.

Ludzie mają różne marzenia. Niektórzy chcieliby być sobą (wreszcie), inni zarobić kiedyś 6 zer (bardzo proszę), a jeszcze inni być marynarzem (i mieć tatuaże). Dwa pierwsze marzenia nie są najłatwiejsze do spełnienia, ale zdobycie szlifów marynarza – nie ma problemu. Możemy nawet od razu przeskoczyć o poziom wyżej i wcielić się w takiego „marynarza na sterydach” – czyli pirata. By to zrobić, wcale nie trzeba wyrabiać patentu sternika, szkolić się w szermierce ani picie rumu. Nie trzeba też kupować sobie haka i papugi. Wystarczy jedynie nielegalnie pobrać parę plików z Internetu. Jak widać, nie jest to trudne, bo według ostatnich szacunków mamy w Polsce blisko 12 milionów takich śmiałków.

3 miliardy w plecy

Piractwo komputerowe – bo o nim mowa – to zjawisko, którego skala (pomimo nieznacznych spadków w ostatnich latach) wciąż przytłacza. „Piraci się” dziś już nie tylko muzykę, filmy, czy gry komputerowe, ale nawet prace akademickie. 46% używanego w naszym kraju oprogramowania pochodzi z nielegalnych źródeł. Rocznie na bezprawnym kopiowaniu i rozpowszechnianiu własności intelektualnej polska gospodarka traci około 3 miliardów złotych. Zdaniem ekspertów to ponad 27 tysięcy zaprzepaszczonych nowych miejsc pracy w branży kreatywnej i audiowizualnej – tyle, co liczba mieszkańców Zakopanego. W 2016 roku na same tylko serwisy oferujące nielegalny dostęp do treści wideo wydaliśmy w Polsce 187 milionów złotych. Za taką kwotę moglibyśmy wykupić łącznie ponad 6 milionów biletów do Multikina. Lub 2 miliony kopii najnowszego „Króla Lwa” na blu-rayu.

Traci artysta

Piractwo to ogromne straty dla producentów, wydawców, ale przede wszystkim naszych ulubionych twórców i artystów. Dlaczego więc wciąż chcemy ich okradać? Szeroko pojmowana

własność intelektualna zaczęła być w naszym kraju chroniona dopiero w 1994 roku, wraz z wejściem w życie ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych. Do tego czasu nie posiadaliśmy żadnych regulacji w tym zakresie; na giełdach komputerowych kwitł handel nielegalnymi kasetami i dyskietskami. Nie ma co ukrywać – w tamtych czasach piracili dosłownie wszyscy. Przed erą Internetu dostęp do oryginalnych treści multimedialnych i oprogramowania był znikomy, więc jeśli ktoś chciał być na bieżąco z wychodzącymi na rynek np. nowymi gramami, miał do wyboru: kupić wersję piracką, lub też nie kupić nic. Wykształcone przez lata przyzwolenie społeczne oraz relatywnie wysokie (w porównaniu z Zachodem) ceny dóbr kultury sprawiły, że w Polsce – tak jak i w innych krajach dawnego bloku wschodniego – piractwo jest powszechne. Na Białorusi jego poziom szacuje się nawet na 80%.

Nie każde pobranie jest kradzieżą

A przecież za piractwo grożą naprawdę wysokie kary. Czasem nawet surowsze niż za „zwykłą” kradzież. Chociaż trzeba dokonać tu pewnego rozgraniczenia. Pobranie na swój komputer filmu, muzyki, czy książki jest legalne i nie grożą za to żadne konsekwencje, nawet jeśli nie bierzemy tych plików z oficjalnej strony autora i możemy podejrzewać, że znalazły się tam one bez jego zgody. Jeśli pobrane przez nas treści wykorzystujemy tylko na własny użytek, to nie łamiemy prawa. Przepięstwo popełniła jedynie ta osoba, która już wcześniej publicznie nielegalnie je rozpowszechniła.

Kodeks grozi palcem

Inaczej ma się już jednak sprawa z oprogramowaniem komputerowym, a więc płatnymi programami i gramami wideo. Jeżeli pobierzemy sobie Photoshopa albo Wiedźmina 3 tylko na własny użytek, by poprzerać zdjęcia lub pograć w domowym zaciszu, to tu już nie ma zmiłuj. Prawo dozwolonego użytku



domowego nie obejmuje bowiem oprogramowania. W takim przypadku zostaniemy potraktowani jak złodzieje, gdyż popełniamy przestępstwo kradzieży programu komputerowego, za które według artykułu 278 kodeksu karnego grozi kara od 3 miesięcy do nawet 5 lat pozbawienia wolności. Dodatkowo, jeśli do instalacji programu użyliśmy cracka, czyli specjalnej mini-aplikacji do łamania zabezpieczeń, to załatwiliśmy sobie bonusową grzywnę i karę pozbawienia wolności do roku. Przepisy działają tu według dość prostej zasady: nielegalne oprogramowanie zawsze jest przestępstwem, a muzyka, filmy i inne treści audiowizualne – wtedy, jeśli bezprawnie je rozpowszechniamy.

W sytuacji, gdy na uzyskanej nielegalnie własności intelektualnej będziemy zarabiać, to oczywiście też łamiemy prawo. A tak działają przecież serwisy oferujące nielegalne treści za opłatą. Chodzi tu zarówno o duże portale udostępniające pliki, jak i o firmy handlujące np. nielegalnymi kluczami aktywacyjnymi. Jeśli kupimy coś od takich gagatków, możemy zostać oskarżeni o nieumyślne paserstwo, które wiąże się z grzywną, ograniczeniem albo pozbawieniem wolności do lat 2. Takie konsekwencje wciąż jednak nie odstrasżają nas przed oddawaniem w ręce pirackich serwisów kilkuset milionów złotych rocznie. I nikt tu nawet nie czuje, że kradnie.

Bo nikt nie traci?

Bo odwieczny problem piractwa od zawsze polegał chyba właśnie na tym, że trudno tu tak naprawdę poczuć jakąkolwiek wagę popełnianego czynu. Zapewne nikt z nas nie byłby w stanie ot tak, wejść sobie do pierwszego lepszego sklepu z elektroniką i pogwizdując pod nosem wynieść stamtąd płytę. Bo przecież odbieramy wtedy sklepowi coś materialnego. My zyskujemy. On traci. Kradniemy. Moralnie nie do przefknięcia. Ale kiedy pobieramy program z sieci, pozornie nikomu nic nie zabieramy. Kilka kliknięć myszką. Kilka przeskakujących na

nasz dysk wirtualnych bajtów. I już. Brak krzywdy. Brak winy. Podczas gdy tak naprawdę właśnie pozbawiliśmy twórców zapłaty za wykonaną pracę. A przy okazji zaszkodziliśmy też zwykłemu użytkownikom, którzy daną treść pozyskali uczciwie. Na przykład w branży gier wideo developerzy, aby uchronić się przed stratami, coraz częściej stosują w swoich produkcjach uciążliwe antypirackie zabezpieczenia DRM – wymagające stałego podłączenia do Internetu i często obniżające wydajność komputera. W ten sposób najwięcej na piractwie tracą zwykli gracze. Chociaż co bardziej pomysłowi twórcy do walki z piratami podchodzą też w finezyjny sposób – na przykład sprawiając, że w pirackiej wersji gry kasują się save'y, obraz dziwnie się zamazuje, główny bohater zyskuje piracką przepaskę na oku albo też karabiny zamiast ołowiem strzelają ... kurczakami (tak było w grze Crysis). Można i tak.

Można też inaczej. 4 lata temu, skazany w Czechach za piractwo niejaki Jakub F. zawarł z właścicielami praw autorskich specyficzną ugodę. Brzmiały jak zakład z diabłem pakt zakładał, że Czech uniknie zapłaty wysokiego odszkodowania, jeżeli przygotowany przez niego antypiracki spot uzyska na YouTube'ie przynajmniej 200 tysięcy wyświetleń. Warunek ten udało się spełnić w niespełna pięć dni, a dziś klip obejrzało już łącznie ponad milion użytkowników. W konsekwencji skruszony łotr Jakub F. ocalił swoją duszę, a przekaz poszedł w świat. Fenomenalna kampania społeczna. Dopiero po spojrzeniu w komentarze można dowiedzieć się, że treść samego wideo spotkała się z kompletnym lekceważeniem i pogardą. „Wszedłem tu tylko dlatego, żeby ten gość nie musiał płacić”. To większość komentarzy pod filmem. Ot, złodziejska solidarność. Pirackie okręty płyną dalej.

Łukasz Trzaska

Stowarzyszenie Demokracja w Praktyce

Wszystkie artykuły dostępne są na stronie internetowej:
www.demokracjapraktyce.pl



 **Kraków**

PISANIE to Twoja pasja?

**DOŁĄCZ
DO NASZEGO
ZESPOŁU
REDAKCYJNEGO!**

**ZADZWOŃ
LUB NAPISZ
DO NAS
I DOWIEDZ SIĘ
WIĘCEJ:**



12 616-78-19



mlodziez@um.krakow.pl